

Na początku było słowo

Widziane z morza

Pamiętam, jak 20 lat temu, na dużej konferencji naukowej w USA śmiałem się na głos, słuchając bardzo emocjonalnego wystąpienia znanego amerykańskiego badacza fauny morskiej. Apelował do międzynarodowej społeczności, żeby unikać wartościujących epitetów przy omawianiu zjawisk przyrodniczych. Szczególnie zależało mu na wykorzenieniu ze słownictwa popularnonaukowych określeń typu „obcy gatunek”, „śmieć biologiczny”, „gatunek inwazyjny”. Wówczas było to dla mnie egzotyczne dbanie o poprawność polityczną w nauce, gdzie, jak mi się wydawało, nie trzeba sobie tym zawracać głowy. Pikanterii temu wydarzeniu dodawał fakt, że ten znany badacz właśnie poddał się operacji zmiany płci i występował po raz pierwszy jako kobieta.



W Przyrodzie wszystko zależy od kontekstu – w jednym miejscu kormoran może być charyzmatycznym ptakiem, usuwającym ze zbiorników wodnych niechciane przez człowieka ryby jak cierniki, babki i jazgarze, ale gdy kolonia kormoranów pojawi się przy stawach rybnych może doprowadzić gospodarstwo do bankructwa i ściągnąć na cały gatunek miano szkodnika. Fot. Stanisław Węśławski

Zmieniłem zdanie. Częściowo pod wpływem nabytego z latami doświadczenia naukowego, ale bardziej przez obserwację tego, jak nazwa – słowo, głęboko zapada w świadomość i jak trudno zmienić przyzwyczajenia. Najwyraźniej widać to w dyskusjach o gatunkach obcych, zwanych dziś bardziej neutralnie „no indigenous”, czyli nierodzimiymi. Temat jest od lat obecny w literaturze naukowej i wchodzi coraz mocniej do sfery przepisów i regulacji prawnych. Na pozór wszystko jest logiczne – obcy są źli. Znane są dramatyczne sytuacje, szczególnie z wysp oceanicznych, gdzie przywiezione na statkach – przypadkiem lub celowo – węże, szczury czy ptaki wyparły miejscowe, endemiczne gatunki. Spacer po parku miejskim w Honolulu dostarczy wielu przyrodniczych wrażeń – ale otaczają nas kolorowe ptaki pochodzą z Azji, Europy i Ameryki, a lokalne gatunki zostały tylko w najbardziej dzikich chaszczach. Nie szukając daleko, w Polsce norka amerykańska w zasadzie wyparła rodzimy gatunek norki, rak amerykański raka szlachetnego itd.

Kłopot jednak w tym, że listy rodzimych gatunków, sporządzane od Oświecenia w Europie i Ameryce, zarejestrowały chwilowy stan fauny i flory, w konkretnej sytuacji klimatycznej i krajobrazowej. Dla ekologa jest oczywiste, że ekosystemy są w ciągłym ruchu, gatunki przybywają i ubywają, w danym momencie obserwujemy tylko pewien stan równowagi, który wkrótce zmieni się w następny. Bardzo wiele inwazji wynika z naturalnych wielkoskalowych zjawisk – ocieplania się klimatu, katastrofalnych sztormów, przesunięcia prądów morskich etc. Znane jest też zjawisko gwałtownego rozwoju

populacji po skolonizowaniu nowego miejsca - przez kilka generacji następuje nadzwyczaj intensywny rozwój gatunku w nowym miejscu - ta rozrzutność jest przydatna, żeby sprawdzić nowe siedliska, nisze pokarmowe, przetrwać drapieżnictwo i pasożyty. Po tym okresie liczebność populacji spada i normuje się na poziomie kontrolowanym przez cały splot powiązań w ekosystemie.

Znam sytuację na Bałtyku, gdzie sprawa obcych gatunków jest od lat przedmiotem intensywnych badań i emocjonalnych dyskusji. Jako młode morze (powstałe po ostatnim zlodowaceniu) i w dodatku słabo zasolone, Bałtyk ma w naturalny sposób bardzo ubogą faunę. Dzięki temu, w historycznych czasach zarejestrowano co najmniej 120 gatunków zwierząt, które przybyły tu i zadomowiły się. Za każdym nowym przybyszem idzie fama „inwazji obcego” i przekonanie że zaraz nam coś zje, wytepi lub zniszczy. Znana wszystkim pąkla - osiadły skorupiak, pospolity na nabrzeżach i konstrukcjach podwodnych, przybyła do nas z Ameryki w połowie XIX w. i przez lata spekulowano, że z pewnością zaraz zatka wszystkie rury kanalizacyjne i spowolni prędkość statków. Krab wełnistoszczypcy (w Polsce od około 1920 r.) miał zniszczyć wały przeciwpowodziowe. Babka bycza (w Polsce od 1992 r.) miała zjadać ikrę cennych ryb itd. Tymczasem, po etapie wzrostu populacji, gatunki wpasowały się w ekosystem, nikt nie podnosi dziś kwestii strat w gospodarce z ich powodu. Epitet „gatunek obcy” jest jednak często powtarzany, zwykle jednak w odniesieniu do nowych przybyszów.

Fatalnie, gdy emocjonalne etykiety wieszają się na gatunkach z powodu chwilowej koniunktury. Ostatnio ukazały się w prasie doniesienia określające foki szare jako „morderców ryb”. Bogu ducha winna szwedzka czy fińska foka, która przyplynie do ujścia Wisły i żeruje na łatwym pokarmie, jakim jest łoś w sieciach w rzece, nie jest żadnym „mordercą”. Zamiast dogadać się z rybakami i wypłacać im odszkodowania za utracone połowy, nakleja się przezwisko, które pozwoli na mobilizację opinii społecznej przeciwko Przyrodzie. To samo stygmatyzowanie jest obserwowane w innych sferach, jak choćby tytuły w rodzaju „Drzewo zabiło kierowcę”.

Nie wolno traktować żadnego gatunku jako „śmiecia biologicznego” - bo za mało wiemy o tym, jak funkcjonuje przyroda. Zapewne każdy z nas jest za pozbyciem się pasożytów raz na zawsze, ale trzeba pamiętać, że nawet one nie spadły z innej planety, lecz są wytworem ewolucji, powstałym w sieci powiązań z innymi istotami. Będę odrobaczał regularnie swego psa, ale nie wyklnę tasiemca, bo wiem, że może spełniać istotną rolę regulującą dzikie populacje. A dodatkowo wiem, że nie wiem jeszcze bardzo wielu rzeczy o funkcji, jaką to zwierzątko pełni w Przyrodzie.

Prof. Jan Marcin Węsławski